№ 3.

WARSZAWA, DNIA 16 STYCZNIA. 1864 R.

# TYGODNIK MÓD




## NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

**CENA.** **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*. w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b. dom dawniéj Krzemińskiego.*

## WYPRAWY WOJENNE SOBIESKIEGO

### PRZED KORONACJĄ.

(Dalszy ciąg).

Zatrwożona partja przeciwna pomyślnym obrotem działań Sobieskiego i lękając się zwycięztw jego jak największego dla siebie nieszczęścia, zaczęła przez swych ajentów podszeptywać, że jakkolwiek dzielne jest ramię króla, ale pycha jego jeszcze większą, że dla niepochamowanéj żądzy sławy pragnąc ciągle pola do popisu, narod wepchnął w wojnę z Turkiem, która może go do straszliwéj doprowadzić niewoli. Dodawali przytém, że kraj wyniszczony potrzebuje gwałtem odpoczynku a nie wojny, choćby z uszczerbkiem jego praw i całości granic, że wreszcie kiedy król nie chce powodów tych uwzględnić, należy odjąć mu środki do prowadzenia dalszéj wojny; to jest nie dać pomocy ani w ludziach, ani w pieniądzach, a przytém starać się, aby wojsko porzuciło zimowe leże i dla odpoczynku wróciło do domu. Szepty te rozchodząc się po całéj Polsce, dosyć podobały się szlachcie; ale najprzychylniejsze ucho znalazły u Michała Paca hetmana wielkiego litewskiego, tego samego, co ku Sobieskiemu największą niegdyś pałał nienawiścią, co to protegując na tron księcia Lotaryngji przeciw Sobieskiemu że o mało co całego kraju nie zaplątał dlatego w wojnę domową. Jakkolwiek późniéj namiętnosci swe pohamował, i połączywszy się z narodem uznał Sobieskiego królem, jednak szatan niechęci choć uśpiony pozostał w sercu, aby przy pierwszéj sposobności przebudzić się i działać bez względu na dobro kraju.

Podszepty zatém takie, znalazły Paca niezmiernie powolnym, a wiedząc że oderwaniem sił litewskich z leż zimowych. udaremni działanie króla nowe mu gotując tryumfy, podburzył swoich podkomendnych i ci szemrząc, domagać się zaczęli z całém wojskiem powrotu do domu i odłożenia zdobycie Kamieńca do wiosny. Król dowiedziaw-

szy się o tém, przejęty żalem i zgryzotą, stanął między szeregami litewskiemi, i słowami z serca idącemi zaczął miękczyć serca wojowników.

— „Opatrzność, mówił król, postawiła nas na straży chrześcijaństwa, abyśmy go bronili od zalewu pogańskiéj dziczy. Dając nam to krwawe posłannictwo, orężowi naszemu użycza cudownéj siły, która acz szczupłe nasze zastępy prowadzi drogą zwycięztwa i zawsze krzyżowi, pod którego godłem walczymy, zapewnia tryumf i powodzenie. Barbarzyńcy niedawno zajęli całą Ukrainę, braci naszych z jednych krew wytoczyli, drugich zagnali w srogą niewolą, innych całemi wioskami uprowadzili w okolice Bałkanu. Po tych krwawych czynach mających się co chwila przenieść w sam środek Rzeczypospolitéj, wy zaledwie zgromadziliście się pod moim sztandarem, a cała pogańska tłuszcza za Dniestr przegnaną, Ukraina znowu została wolną i Rzeczpospolita odetchnęła z trwogi i przerażenia. Waszém męztwem Opatrzność dokonała tego cudu, ale żeby owoc téj ciężkiéj pracy nie zmarniał, potrzeba zdobyć Kamieniec i to konieeznie w zimie, tym naszym naturalnym sprzymierzeńcu przeciw Turkom. Mamyć więc spoczynek w domu przenieść nad otrzymaniem téj swietnéj korzyści? Izaliż ja nie mąż i nie ojciec rodziny, umiejący oceniać słodycz domowego szczęścia? Bracia! bądźmy Polakami i raz pokażmy wrogom, że nie tylko umiemy zwyciężać, ale i korzystać ze zwycięztwa przestało być dla nas tajemnicą. Pozostańcie w szeregach, a dla Ojczyzny staniecie się wybawcami i dobroczyńcami.“

Wojsko padło na kolana przed ukochanym swym wodzem, przyrzekając pospołu z nim znosić wszystkie trudy i szafować życiem dla dobra kraju. Ale w sercu Paca za nadto na nowo rozrosła się niechęć ku Sobieskiemu, aby mógł nledz z łagodnością potędze jego wymowy. Zażądał więc pozwolenia do powrotu do domu dla samego siebie, wojsko zostawiając pod komendą króla, pewnym będąc, że po jego wyjeździe, mimo chwilowo obudzonego uniesienia, pójdzie za jego przykładem. Stało się jak przewidywał, wkrótce bowiem nie tylko cała Litwa wyruszyła za swoim hetmanem, ale przeciągnęła nadto do opuszczenia leż zimowych wiele polskiego żołnierza. Zdobycie więc Kamieńca musiało być zaniechane, a król boleścią przejęty, pragnąc ukarać nieposłuszne szeregi. wydał do województw uniwersały, oświadczając w nich, że część wojska, co opuściła obóz, jako niezdolna i niegodna służyć daléj Rzeczpospolitéj, przez niego samego odegnaną została.

Ogłoszenie to w całym kraju ogromne zrobiło wrażenie, tak panowie jak szlachta, tak Polska jak Litwa, oburznni na Paca mianowali go zdrajcą kraju, dowodząc że jako taki powinien być srodze ukarany. Ale złe było większe jak myślano, mówiono tylko o szkodach materjalnych łatwo mogących być wynagrodzonemi, zapominając o moralnych, których już nic naprawić nie zdołało. Dotąd bowiem wszystkie wysilenia narodu rozbijały się o brak wytrwałości: zebrane z trudem wojska odnosiły zwycięztwa i jak tylko na razie niebezpieczeństwo przestało być groźne, rozchodzono się do domów, ażeby znowu wkrótce z tém samém walcząc niebezpieczeństwem, które nie zdławione w nowe naturalnie urosło siły. I tak było ciągle, i Turcy choć się bali polskiego oręża, ale wiedząc z doświadczenia, że po kilkotygodniowéj walce zawsze się wojsko potém rozchodziło do domu, że długą wojną, oblężeniem, słowem porządném i wytrwałem prowadzeniem kampanji, nie rządził rozkaz wodza, ale los lub wypadek zależny od różnych nieprzewidzianych okoliczności, odniesionemi więc klęskami nie zrażali się, i coraz groźniejsze robili przygotowania do wykonania swoich zaborczych celów. Wyniesienie Sobieskiego na króla zatrwożyło ich wielce, byli bowiem pewni, że urok sławy tego męża, usunie tak szkodliwe błędy. Polska uległszy jego przewadze, jednością i wytrwałością w prowadzeniu kampanji, stanie się potęgą groźną, niezwalczoną, a nawet niebezpieczną dla saméj Turcji. Ale obawy te zupełnie usprawiedliwione zniszczone były przez Paca i Turja zadrżała z radości, zobaczywszy w rozejściu się wojska dowód, jednéj zawsze słabości Polski, tym milszéj dla niéj, że niezachwianéj nawet władzą tak bohaterskiego króla wojownika.

Skutkiem tego Turcy nabrali śmiałości, zapewnienia w dalszém posiadaniu Kamieńca; już nie odpierali, ale napadali no posterunki polskie, zadając im częste dotkliwe klęski. Doroszeńko z kozakami także shardział i choć niby prowadził układy z Sobieskim, ale robił to jedynie dla zyskania czasu, do dawniejszych warunków nowe przydawał, a jednoczeście podburzał Dywan, do wysłania wojsk przeciw królowi, rozejściem się wojska prawie bezsilnemu. Układy zagojone z Rossją także zerwane, słowem wszystkie zabiegi króla Jana zupełnie udaremnione zostały. Zima więc upływa bez żadnego pożytku na ciągłych utarczkach, w pośród których król dla braku sił dostatecznych, nie mogąc myśléć o walnych bitwach, zajmował się wznoszeniem warownych zamków, szańców i okopów, ażeby choć oblężeniami wycieńczać groźnego nieprzyjaciela.

Pomimo jednak boleści szlachetnego jego serca,

cierpiącego podwójnie, jako wódz i król, z wydarcia mu przez własnych ziomków tylu świetnych spodziewanych korzyści Sobieski nie upadł na duchu i szukał między wojskiem kozaków pomocy, odmówionéj mu przez naród. W tym celu znając Sierzkę jednego z dowódzców kozackich, nieprzychylnego bardzo Doroszeńce, a przez wykształcenie przywiązanego do Polski, ujął go uprzejmością i szczodremi obietnicami i namowił do utworzenia oddzielnego oddziału wspólnie z nim działającego. Sierzko zajął się bezwłocznie wykonaniem podsuniętéj mu myśli, i zaczął przygotowywać liczny oddział z kozaków przywiązanych jeszcze do Rzeczypospolitéj.

Tymczasem niepomyślne wiadomości z pola bitwy dochodząc do kraju, coraz większe oburzenie wywoływały przeciwko Pacowi, jedynemu ich sprawcy.

Europa oburzenie to podzielała, bo każdéj nowéj z Turcją wojnie przyglądała się z trwogą, śledząc pilnie jéj obroty i przyklaskując zwycięztwom dla niéj i za nią odnoszonych. Nie oszczędzała więc wymówek dla dworu wiedeńskiego, które przychylném echem odbijając się w Polsce, jeszcze bardziéj jątrzyły opinją przeciw Pacowi. Przyszło wreszcie do tego, że Pac zmiarkowawszy, iż niechęć zbyt szerokim ze wszystkich stron płynie ku niemu prądem, że ten nie tylko powalić ale nawet zalać go może bez żadnego już ratunku, uchylił wreszcie hardéj głowy, i przez znakomitszych rodu swego dostojników, wniósł prośby do królowéj Marji Kazimiery, o wstawienie się za nim do króla. Sobieski nie umiejący nigdy długo się gniewać, przebaczył błąd dumnemu magnatowi, i pozwolił z wojskiem wrócić pod chorągwie, których był nie powinien nigdy opuszczać. Ale żal ten jakkolwiek szlachetny, nie naprawił złego, jakie się stało; nadzieja jedności pod wpływem nowego króla znikła na zawsze, dając nie życzenie. ale pewność nieprzyjaciołom, że zdobycz na którą tak dawno i uporczywie czekają, już im się teraz z rąk nie wymknie.

W tém na pola okryte białym całunem zimy, zaczął podmuchiwać wiosenny wietrzyk. Sniegi i lody spłynęły ku rzekom, zaświegotał skowronek, a gdy Dniestr roztoczył szeroko pieniste koryto, na południu rozwarły się nory pogańskie, ziemia okryła się zawojami tureckiemi, baraniemi czapkami Tatarów, i chmary muzułmanów żądnych krwi i zniszczenia jak powódź zalała Podole, Ukrainę i Pokucie. Wnet nieszczęśliwe ziemie zajaśniały płomieniem palących się wiosek; pola i lasy pokryły się purpurą krwi chrześcijańskiéj, a jęk konających i wleczonych w niewolą, łącząc się z okrzykami bluźnierczemi nieprzyjaciół krzyża, napełnił przestworze powietrza, z głuchym szumem sunąc się po pustym, bezludnym stepie. Sobieski na powiększenie ogólnego nieszczęścia, nie mogąc nigdzie stawić, choćby najmniejszego oporu, zmuszony tém samém opuścić zimowe leże w Bracławiu, cofał się ku granicom Wołynia i Rusi Czerwonéj, dążąc ku Lwowowi, jako środkowemu punktowi działającéj pod jego rozkazami armji, zaledwie godnéj nazwiska małego korpusiku. Jednocześnie w całém królestwie przygotowywał środki wytrzymania natarcia; gdyby linja obronna tworzona przez jego nieliczny zastęp przełamaną została, Jabłonowskiemu w Złoczewie polecił zasłaniać północ; w Brodach i Załoszu kazał Dymitrowi ks. Wiśniowieckiemu udzielać opiekę Rusi; Dniestr miał mieć na baczeniu wielki chorąży obozujący w Brzeżanach, a trochę lekkiéj jazdy zostawiono w polu, dla ciągłego ucierania się z pogaństwem.

Turkami dowodził głośny z przebiegłości i odwagi Seraskier Szyszman Ibrahim Pasza, tak bowiem Mahomet IV jak i jego wielki wezyr, znali dobrze niebezpieczeństwo walki, w któréj przeciwnikiem był Sobieski. To też mimo wielkiéj Turków przewagi, han tatarski ciągle słał posłańców do króla z oświadczeniami pośrednictwa do zawarcia pokoju, które wreszcie Sobieski znajdując się w nader krytycznem położeniu, przyjąwszy, wysłał Generała Koryckiego podstolego Chełmińskiego z drugim oficerem do Seraskiera w celu układania się o pokój. Ale pełen pychy poganin, mający krocie pod swemi rozkazami, wysłańców przyjął z wielkiém lekceważeniem i otaczając się kłębami tytuniowego dymu, rzekł:

— „Jeżeliście wysłannikami waszego króla, to czego chcecie powiedźcie w dwóch słowach, bo trzech słuchać nie mam czasu."

— „Za mało" odrzekli deputaci i na tém skończyła się cała konferencja, ale ich nie wypuszczano z obozu, i jakby na urągowisko wiedziono z sobą, robiąc świadkami okropnego spustoszenia. Idąc tak po strugach krwi, wszystko obracając w perzynę, Seraskier doszedł nareszcie pod Zbaraż, gród dziedziczny Wiśniowieckich, broniony przez nader szczupłą załogę, czterdziestu hajduków i sześćdziesięciu polskich żołnierzy, dowodzonych przez francuzkiego kapitana Desauteuils. Ale na nieszczęście do sześciu tysięcy ludu Ruskiego, znajdowało się w Zbarażu, zbiegłego z pobliskich okolic, i ci przejęci strachem na widok postępujących Turków, bronienie się uważając za szaleństwo, które jeszcze bardziéj rozjątrzyć może pogan

zamiast połączyć się z obrońcami, uknuli tajemnie spisek, i na dany znak wycięli całą zbrojną załogę, a dowodzącego nią Francuza wyrzucili za fosy. Seraskier bez szturmu stawszy się panem miasta, nie pominął sposobności zadosyć uczynienia swéj barbarzyńskiéj chuci, która morderstwa pożogi i zniszczenia używa nie z potrzeby, ale z upodobania, kazał więc Koryckiego z towarzyszem wyprowadzić na wzgórze, aby byli świadkami kar i srogości dla tych, co zamiast ukorzenia się ośmielili się pomyśléć o obronie. I na dany znak, w kilkunastu punktach Zbaraża błysnęły płomienie, w okamgnieniu prawie ogarniając całe miasto. Z trzaskiem, z szumem wzniosły się czarne kłęby dymu a w pośród nich wychodził jęk mordowanych starców dzieci; albo krzyk rozpaczy rozdzielanych małżonków, aby kobietami zaludnić azjatyckie haremy, a z mężczyzn miéć wybornych pracowników przy wiosłach. W krótkim czasie z miasteczka przed chwilą wrzącego życiem, została kupa gruzów i popiołu, z mieszkańców stos trupów i gromadka nieszczęśliwych powiązanych jak bydło, i gnanych ręką barbarzyńcy na odległe targi rozległego wschodu i południa. Jeden tylko Desauteuille z rozkazu Seraskiera ocalał i późniéj wyleczony z ran na żądanie króla Jana odesłany mu został do obozu. Niedługo po tém krwawém widowisku, godném hordy występującéj z łożyska przeciw cywilizacji i wolności ludów chrześcijańskich, posłowie polscy z pomocą jednego z murzów którego syn znajdował się jeńcem wobozie królewskim, potrafili umknąć i dostać się do swoich.

Wiadomości przyniesione od nich, przerażeniem napełniły wszystkich, i gdyby Turcy w działaniu swém więcéj okazali się energicznemi, nie ma wątpliwości, że pogaństwo wkrótce opanowałoby Polskę, nie mogącą się zdobyć na wystawienie siły potrzebnéj do obrony. Wahające działanie Seraskiera, zaprzątniętego więcéj korzyściami z rabunku, jak myślą staczania walnych bitew, któreby mu otworzyły podwoje Rzeczypospolitéj, ocaliło Polskę. Doroszeńko bowiem urażony tak powolném działaniem Turków, pozostał nieczynnym, nie wiążąc się stanowczo z żadną stroną. Rosjanie zaczęli się przygotowywać do wystąpienia, a Sierzko korzystając z niechęci bezczynnych kozaków, zebrał ich znaczny zastęp, i rzuciwszy się z Zaporoża na bandy tatarskie plondrujące Ukrainę, wniósł postrach pomiędzy linje ottomańskie. Król niezrażając się obojętnością kraju, prowadził ciągle tymczasem wojnę partyzancką; przecinał kommunikacje, odbierał łupy, odbijał więźniów, w pień wycinał całe oddziały, i warował Lwów i inne znaczniejsze stanowiska. W tych czynach bohaterskich króla, świetnie go wspierali hetman wielki Wiśniowiecki i Jabłonowski, i walcząc mordując nieprzyjaciela, tak oburzyli Dywan na Seraskiera, że wielki wezyr Achmet Kiupruli zagroził mu śmiercią, jeżeli korzyściami nie wynagrodzi swéj opieszałości. Donosił mu przytém, że chcąc raz skończyć z Polską, druga armja już się przez Dniestr przeprawia, a na czele trzeciéj wystąpi sam sułtan, jak tylko ta zebraną zostanie w Adrjanopolu. Seraskier otrzymaszy takie wiadomości, postanowił całą swą siłą pójść na Lwów, co dawno mógł uczynić, aby zdobyciem tego warownego grodu, otworzyć wolny wstęp do Krakowa, Warszawy i całéj Polski. Los więc kraju zagrożonego tak przeważnym nieprzyjacielem, miał się wkrótce rozstrzygnąć.

(d. c. n.)

---

## NAD KOŁYSKĄ.

Białą kolebkę stroją kwiaty,
W kolebce drobna dziecina śni,
W licach jéj kwitną róż szkarłaty,
Czoło bladością marmuru lśni.

Matka schylona nad dzieciną,
Wpiła w nią tkliwy, miłośny wzrok,
Dziecię westchnęło, twarz matczyną
Owiał posępnéj zadumy mrok.

Spij drogie dziecię, śnij wesoło,
Słuchaj harmonii anielskich harf,
Wpij się, w ich dźwięki, a swe czoło
Ustrój blaskami niebieskich barw.

Ja z wonnych kwiatów wieniec uplotę,
I niém ozdobię twą drobną skroń,
Blaski ich zaćmią twą tęsknotę,
W sen ukołysze urocza woń.

Spij drogie dziecię, myśl skrzydlata
Po rajskich błoniach niech buja w snach...
Może twą drogę w przyszłe lata,
Przebiegać będziesz we krwi i łzach..

I może będziesz, gdy sny miną,
Oznaczać każdy na świecie krok,
Dziecię westchnęło, twarz matczyną
Owiał posępny zadumy mrok.

*Adam Maszewski.*

---

## STAROŻYTNOŚĆ RASSY LUDZKIÉJ

przez G. Rodier.

Nad tém pytaniem, jak stara jest ludzkość, uczeni już niemało nałamali sobie głowy. Przed erą chrześcijańską tekst hebrajski naznacza jéj lat 4,004, samarytański 4,700, według podania septantów 5,872, wedle zaś innych komentatorów 5,963. Sama różnica tych dat dozwala już wątpić o ich nieomyślności, a geologja wykazała, że owe sześć dni stworzenia według Genezy były perjodami nieokreślonéj długości, podczas których ziemia nasza kształtowała się wśród straszliwych konwulsji. Autor twierdzi, iż za pomocą astronomji i chronologji, można oznaczyć dokładnie czas istnienia kilku epok zasadniczych.

Rzecz swoją rozpoczyna chronologją egipską, wyczerpniętą z Manethona, uczonego kapłana egipskiego, któremu Ptolomeusz Filadelf założyciel bibljoteki aleksandryjskiéj poruszył skreślenie treściwe dziejów krajowych. Uczony ten początki społeczności egipskiéj stawia na 30,000 lat przed Chrystusem. Żadne atoli pamiątki wyraźne nie wiążą się z pierwszemi okresami istnienia tego ludu.

Pierwsze próby metody sprawdzania za pomocą astronomji, p. Rodier stosuje do okresu Ozyrysa około r. 19,564 przed naszą era. Imię Ozyrysa jest najpopularniejsze w podaniach egipskich: był on mytem? czy żył w istocie i został po śmierci ubóstwiony, jak wszyscy ówcześni bohaterowie? Różnie różni twierdzili. Manethon przytoczony w kronice Euzebjusza, gdyż same jego dzieło nie przechowało się do naszych czasów i tylko zostało z niego kilka wyjątków przytoczonych w starożytnych kronikach, otóż Manethon powiada, że Ozyrys był jednym z najpotężniejszych królów egipskich. Rodier każe mu wierzyć, i w ten sposób prawdę słów egipskiego kapłana motywuje. Diodor przytacza starożytną legendę, opiewającą ogromny niegdyś wylew Nilu, który zupełnie zniszczył okolice za panowania Ozyrysa, w czasach, kiedy gwiazda Syrus *wstawała słonecznie* to jest wychodziła z pod promieni słonecznych, ażeby przez rumieniec jutrzenki ukazać się na wschodnim nieboskłonie. Okoliczność ta za nonsens poczytana przez uczonych, wedle rachunków astronowicznych Rodier'a okazuje się prawdziwą. Powiada on, że tak rzeczywiście musiała się ukazywać ta gwiazda w owym czasie. W odległości 21,000 lat, zadanie może być rozwiązane tylko w przyblizeniu, ale z omyłką co najwięcéj trzech wieków, fakt jest niezbity. Astronomja za czasów Ozyrysa, uważana za naukę świętą, oznaczała uroczystości publiczne, kierowała robotami i ruchem ludności, oznaczała nawet czas rewolucji politycznych. Wszystkie wielkie zmiany dostrzeżone w pomroce wieków, odpowiadają zjawiskom niebieskim tak znacznym, iż mogły służyć za podstawę kalendarza. To wiązanie ziemi z niebem dozwala dziś jedynie dojść prawdy, ślady na ziemi znikły, ale odpowiednie im na niebie zostały, ztąd dochodzenie epoki dziejów starożytnych za pomocą astronomji, jest pomysłem genjalnym.

Na téj drodze, autor oznacza inne epoki, i w badaniach swych zawsze wychodzi zwycięzko; czy zaś rasa ludzka z jednéj, czy nie z jednéj wyszła pary, o to się wcale nie troszczy. Pominąwszy tę niedościgłą tajemnicę, autor powiada, że przeszło na 24,000 lat przed naszą erą już istniały na ziemi rozmaite rasy, i opiera dowodzenie na podaniach bardzo dawnych i niezmienności niektórych rass jeszcze istniejących. Owe pierwotne hordy nie wzniosły się jeszcze do pasterskiego życia; mało różne od zwierząt żyły z polowania i rybołówstwa, język zaś ich był dziecęcém bełkotaniem. Od Ozyrysa, autor opuszcza pole domysłów a rozpoczyna właściwą historją, dziwną, jałową, prawie niemą, przez długi łańcuch wieków; z zamkniętych swych przepaści wyrzucającą zaledwie imion kilka i kilka wspomnień, pociągających swą niedościgłą tajemniczością.

Owe tysiace lat ciemnych, wśród których tylko gdzie niegdzie, w niezmiernéj od siebie odległości, błyszczą jasne punkciki, ogromne czynią wrażenie. Czytelnik wyobraża sobie te olbrzymie dziéjowe okresy jako morze bez końca, po których od czasu do czasu apokaliptyczne szaleją nawałnice. Widzi mrowisko istot ludzkich zgiętych pod jarzmem rządów teokratycznych, żyjących życiem bierném, bezwładném, użyzniające ziemię swym potem, pobielające je kośćmi swojemi... widzi to mrowie pracujące po cichu nad owładnięciem natury jeszcze buntowniczéj i dzikiéj, potrzebujące niezmiernego przeciągu czasu na przyswojenie sobie innéj myśli i postawienie jednego kroku naprzód, dążące przed groznym głosem natchnionych kapłanów, posiadaczy wiedzy wyższéj, w Egipcie bijących czołem przed Syrusem, w Indjach przerażonych szumem wichru, łuną błyskawic i hukiem grzmotów. Widzi to mrowie gnane nadziemskim podmuchem do morderczych zaborów i krwawych rewolucji, a nakoniec tonące w nurtach hotopu.

W tym wskrzeszonym ruchu dziejowym to najwięcéj uderza, że nie znać aby w długiém pasmie wieków pierwotnych, człowiek na jedną chwilę miał poczucie własnéj godności. Widać dwa in-

tynkta potężne, które władają massami i pędzą je jak wicher kłęby kurzawy; instynkt religijny i narodowości. To były jedyne pobudki ówszesnych walk zażartych pomiędzy różnorodnemi plemionami. Po za zbiorowością, po nad którą unosi się dogmat absolutnego posłuszeństwa, człowiek nie był niczem: prawo jednostek nie istniało. Trzeba zejść aż do Greków, ażeby spotkać pierwsze wyobrażenie wolności, ażeby oglądać rozkwit uczucia osobistéj niepodległości. Fakt ten nader bolesny, gdyby nie był w zgodzie z naturalnemi warunkami prawa postępu, wyjaśnia autor, przez co dodaje do ważności naukowéj dzieła, wartość wysokiéj a zdrowéj filozofji.

Znakomita ta praca jasno dowodzi czynności umysłu ludzkiego, zgłębiającego nie tylko tajemnice materjalnego swiata, ale rozświetlającego, grube ciemnice przeszłości, aby z nich usnuć wątek dla dróg przyszłości. (Bibl. War.)

---

## KRONIKA LITERACKA.

*Dziesięciogroszowa Bibljoteka* dla dobrych i pilnych dziatek, zaczynających się sposobić do nauk, wydawana nakładem Celsa Lewickiego księgarza, dla tego tak jest nazwana, że wychodzi małemi książeczkami, obejmującemi zawsze w sobie jeden drzeworyt, przy tém stanowi całość i każda książeczka może być kupowaną oddzielnie po gr. dziesięć. Dotąd bibljoteczki téj, wyszło sześć książeczek i obejmują powiastek cztery, przejażdżkę do dawnych Pruss królewskich, dziennik podróży do Stanów Zjednoczonych i parę artykułów mniejszéj treści. Myśl tego wydawnictwa wyborna, redakcja staranna, opowiadanie jasne dobrą polszczyzną, treść ciekawa, korrekta pilnie prowadzona i przystępna cena. Oto zalety istotne téj publikacji, które ją stawiają w szeregu bardzo użytecznych wydawnictw. Gdyby drzeworyty były lepsze i w opowiadaniu więcéj rozwinięta dramatyczność, Bibljoteczka w wydawnictwach podobnego rodzaju, pierwsze zajęłaby miejsce. Mimo tego polecamy ją wszystkim ojcom, matkom i opiekunom małych dziatek, jako rzecz bawiącą, uczącą i pożyteczną.

---

## Nowości Zagraniczne.

*Moniteur de la mode.* Moda coraz to więcéj skłania się do ubiorów męzkich i jeżeli można wierzyć niektórym magazynom, wkrótce stroje kobiece będą wyglądać jak przebrania. Widziemy już już paletoty skrajane zupełnie na wzór męzkich, kurtki kamizelki świeżego fasonu, amerykańskie krawaty, wreście buty, wszystko to zaś dla istot, których największą ozdobą jest wdzięk i skromność.

Notując fakt, prześlizgniemy się po nim tylko, gdyż zawsze uważamy to jedynie za chwilową fantazję.

Magazyn Gagelin-Opigez jakkolwiek stojący na czele wszystkich nowości umie przecież unikać excentryczności i zachować dobry smak o którym przyzwoita kobieta nigdy zapomnieć nie powinna. W tymto magazynie widzieliśmy wiele pięknych rzeczy, z których niektóre wymieniamy.

Suknia aksamitna fijołkowa, cieniu zwanego *violet prune* u któréj spódnica powłóczysta w kształt ogona, obłożona była sobolami, stanik do paska, rękawy ścinane od łokcia, z mankietem futrzannym. Do tego takiż sam paltot średniéj długości.

Suknia morowa koloru *marron doré*, obłożona pluszem czarnym, stanik kaftaniczkowy, (corsage à veste) do niego kamizelka z guzikami stalowemi. Obłożenie szerokie na 15 centymetrów.

Pani Bernard pokazywała nam wiele aksamitnych i sukiennych sukien kształtu polskiego, z obłożeniem barankowém, lub tumakowém. Suknie takie robią się z kaftaniczkiem. Oprócz futra zdobią się one podłużnemi guzikami (olives) i potrzebami szmuklerskiemi.

Jakkolwiek powietrze jest ciągle nader łagodne futra bardzo są noszone. Wązkie obłożenia sobolowe, tumakowe, popielicowe lub z baranków coraz więcéj wchodzą w użycie. Suknie polskie, o jakich mówiliśmy wyżéj, nie mogą obejść się bez téj ozdoby.

Ozdoby szmuklerskie są niemniéj modne, wyjąwszy sukien aksamitnych do których dają tylko futra lub koronki; atłas, morę, wszystkie materje jedwabne, popeliny i kaszmiry bardzo suto stroją szmuklerszczyzną.

Widzieliśmy piękne garnirowania tego rodzaju zwane *weneckiém.* Są to medaljony z wisiorkami i wstawki z gwiazd naszyte perłami. Wszystkie obecne modne kaftaniczki są: amerykańskie, spahis Figaro, wreście Ludwik XV zdobią w tym guście szmuklerszczyzną z perłami. Oprócz frendzli z perłami używają sznelowéj z grelotkami aksamitnemi.

Zaczęto robić bardzo małe kapelusze, znakomitsze jednak magazyny utrzymały większe fasony.

Pokazują się kapelusze okrągłe również bardzo małe i ztąd zwane kaszkiecikami, zwykle dobrze przypadają one do twarzy, szczególniéj gdy są przystrojone sutym pęczkiem piór, ale jest to zawsze strój młody, mogący ujść do lat 25.

*Musée des familles*. W obecnéj porze najwięcéj widać kapeluszy aksamitnych, atłasowych i mantynowych pikowanych na wacie lub z pluszu. Te ostatnie bardzo noszone przez młode panienki, gdyż nie potrzebują żadnego przybrania. Kapelusze małe okrągłe zupełnie niemają powodzenia, czasami tylko pojawi się taki ze skrzydełkiem ptasim i woalkę zwaną *loup* przylegającą do twarzy, ale bynajmniéj kapelusza takiego pochwalić niemożemy. Spódniczki wełniane dochodzą do prawdziwego zbytku, bo cena ich równa się wartości sukni; można jednak i za tańsze pieniądze miéć bardzo ładną z falbaneczką rurkowaną, z plisą szkocką albo aksamitną lub nareszcie wyszytą sutaszem. Suknie z ciężkiéj jedwabnéj lub wełnianéj materji robią się zupełnie gładkie, do lżejszych używane pasmanterje, wstawki gipiurowe i falbanki. Suknie *Gabrjele* zarówno noszone są przez dorosłe osoby jak i dzieci. Śliczną widzieliśmy z popielatéj popeliny; inną znów dla ośmioletniéj panienki: złożoną ze spódniczki i krótkiego do stanu tylko dochodzącego kaftaniczka.

*Le conseiller des dames, et des demoiselles.* Suknie kuliste czyli *Gabrjele* uległy małéj zmianie w tych czasach. Przód mają prosty, nieodcinany, plecy zaś zakończone baskiną postyljońską, lub po prostu zębem. Rękawy u nich długie zwężone od łokcia, tak aby tylko ręka przejść mogła, brzeg rękawa przybrany pasmanterją lub falbanką stosownie do garniruuku spódnicy. Na ramionach powinien być epolet czyli żokiej, albo też garnirunek dokoła pachy. Kiedy stanik ozdobiony bywa bertą z pasmanterji; w takim razie nie ma epoleta.

Suknie garnirują rozmaicie; widziemy falbanki naszywane w drabinkę co półbryta, lub też otaczające suknię u dołu i odwracane w górę na pół łokcia wysoko. Niektóre znów obszywają nad obrębem gipiurą lub pasmanterją.

Kapelusze tegoroczne nierównie mniéj podniesione w górę od dawniejszych; radzi jesteśmy téj przemianie. Noszą najwięcéj aksamitnych lub poult de soie mięszanych z aksamitem. Kwiat pod spodem ronda umieszczony bywa zwykle na boku. Szarfy ścinane prosto; garnirowane u dołu czarną koronką, ładnie zdobią kapelusz.

Na zakończenie przytaczam kilka całkowitych ubrań dziecinnych.

Dla dziesięcioletniej dziewczynki, suknia Gabrjela, z popeliny popielatéj, u dołu falbanka fałdowaną, zakończona aksamitką czarną; nad falbanką trzy rzędy takiejże aksamitki. Stanik z kaftaniczkiem, odznaczonym dwa razy aksamitką, z tyłu od boku do boku spada fałdowana baskina. Kieszonki po bokach spódniczki nagarnirowane wązką falbanką. Suknia z przodu spięta na czarne aksamitne guziki.

Dla małéj pięcioletniéj dziewczynki. Sukienka popelinowa naszyta u dołu aksamitką, tworzącą małe piramidy. Staniczek gładki z podwójnym bawecikiem z przodu i z szelkami, rozciętemi na ramionach. U rękawa mankiet rozcięty tworzy dwa ostre zęby. Wszystkie te zęby naszyte odpowiednio aksamitką.

Inna sukieneczka popelinowa, ubrana ruszą jedwabną. Szmizetka biała. Kaftaniczek postyljoński, ogarnirowany wkoło ruszką, równie jak i rękawy.

Ubranie sześcioletniego chłopczyka. Majtki szerokie z półsukienka, do tego paletocik spinany na aksamitne guziki. Pas aksamitny czarny.

Ubranie trzyletniego chłopczyka. Sukieneczka popelinowa, spięta na boku, obszyta kilkoma rzędami czarnéj aksamitki.

*Petit courrier des dames.* Kaftaniczek i kamizelka są więcéj niż kiedykolwiek używane; u siebie w domu, lub do mniéj strojnego ubrania.

Są przecież dwa zupełnie różne rodzaje kaftaniczków; jeden pocztyljoński z baskiną, zaokrąglony z przodu jak kostjum którego nazwę nosi, drugi zowiący się kaftaniczkiem wschodnim; z gładkiemi i prosto do figury wciętemi plecami, z przodu także zaokrąglony. Kamizelka powinna bydź odmienną od kaftanika i zwykle bywa ona sukienną lub aksamitną, na przykład: kamizelka sukienna, kaftaniczek kaszmirowy.

Suknie jedwabne zwykle bywają z materji gładkich, ubierane aksamitem, pluszem lub szmuklerszczyzną; naprzykład, suknia czarna z *poult de soie* ciężkiego i bez połysku; u dołu szeroki na 40 centymetrów, pas z fijołkowego aksamitu, wycinany w górze. w zęby objęte rulonikiem z białéj materji, tak że aksamit tworzy dół spódnicy. Kaftanikczek ubierany aksamitem i podbity białą materją, kamizelka aksamitna fijołkowa. Kaftaniczki polskie bardzo są modne obecnie, zwykle bywają z kaszmiru lub aksamitu.

Trzeba uważać aby do kaftaniczków z plecami wcinanemi i bez baskiny, kamizelka miała w tyle ząb, który zachodzac na pasek spódnicy, przykrywa go.

*Journal des dames et des demoiselles.* Tegoroczne suknie wizytowe najczęściéj bywają fasonu zwanego *princesse*, niemniéj również robi się kaftaniczków wpadających z tyłu do kibici i z małą baskiną a zaokrąglonych z przodu, do tego kamizelka z bawecikami. zapinana z przodu, lub sznurowana w tyle, co wygląda strojniéj ale jest mniéj wygodne. Noszą także staniki aksamitne rozcinaną

baskiną. paski na bokach są zwykle bardzo długie staniki takie bywają tak kolorowe jak czarne, widzieliśmy na przykład popielatą popelinową suknię, stanik czarny aksamitny z bardzo długiemi baskiami ozdobionemi pasmanterją, ramiączka przystrojone tak zwanemi *aiquilate*, rękawy popelinowe ubrane aksamitem czarnym i ozdobami szmuklerskiemi przy ręku, spódnica przybrana u dołu szerokim pasem aksamitu czarnego objętego szmuklerszczyzną. Kaftaniczki nie przystające do figury noszą się tylko do mniéj strojnego ubrania lub u siebie w domu, bądź z kamizelką, bądź z koszulką białą fularową lub kaszmirową haftowaną ezarno. Prawdziwe szlafroczki robią się w formie paltotu nieco wpadającego do figury, z trzema wielkiemi fałdami w tyle; bywają one kaszmirowe z podszewką jedwabną lekko podwatowaną i pikowaną, do koła otacza je ukos jedwabny.

---

## Opis ryciny.

Figura 1. Suknia pluszowa szeroka i powłóczysta naszyta u dołu plisą aksamitną i wązką gipiurą. Przednia część spódnicy krajana jest w formie Gabrjeli z spiczastym zębęm do góry idącym. Kaftaniczek grecki z przodu mocno zaokrąglony, na plecach dochodzący tylko do stanu ubrany aksamitem i gipiurą. Rękawy obcisłe. Bluzka pod spód muszlinowa. Ubiorek z gazy, tiulu, koronki i drobnych kwiateczków.

Figura 2. Suknia jedwabna, mająca u dołu szlak wyszyty aksamitką i wązką falbaneczką. Deseń ten w kształcie liści bardzo efektownie na sukni wygląda. Spódniczka z wełnianéj mory ozdobiona plisami z aksamitu szkockiego. Kardynałka z pluszu szkockiego z frendzlą sznelową z gałeczkami. Kapelusz aksamitny, ubrany fanszonikiem z aksamitu szkockiego i frendzelką sznelową.

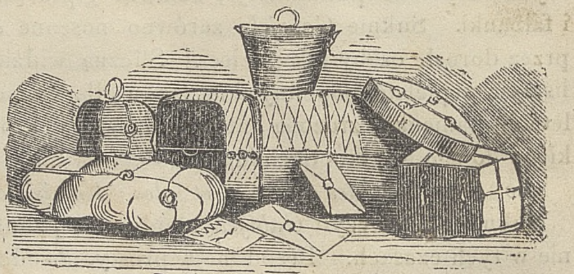
Figura 3. *Ubranie panienki 6-cio letniéj.* Suknia wełniana w dużą kratę. U dolu wąziuchna falbanka i plisa sukienna. Kaftanik sukienny ozdobiony grelotkami. Kamizelka fularowa. Rękawki bałystowe. Kokardka aksamitna nad czołem.

---

## DONIESIENIE.

Kantor stręczeń guwernerów, guwernantek i bon, utrzymywany przez panią *Helenę Nowolecką* przy ulicy Krakowskie Przedmieście wprost Kościoła księży Bernadynów, polecamy osobom interesowanym, z tem szczerem przekonaniem, że wszelkie zgłoszenia się do niego, o ile to jest w ludzkiej mocy, z zadowolnieniem i pożytkiem przez niego załatwione zostaną. Obecnie kantor rozwinął znaczne stosunki, i postawił się w możności zadosyć uczynienia wszelkim wymaganiom.

---



P. Nar. Zab: z Biały Podlaskiej, listu żadnego poprzednio co do przesyłki kapelusza nie odebraliśmy, i dla tego żądaniu zadosyć uczynić nie możemy— P. M. Kras- w Starokonstantynowie Dzieło p. t. la maison rustique kosztuje Złp. 60.— P. Maryi Weś: w Tatarynowie Bibljoteki popularnej wyszedł dotychczas jeden zeszyt, kiedy zaś wyjdą następne, Redakcya nie jest w możności objaśnić Panu Dru Majew. w Stawropolu. — Tygodnik Mód zaprenumerowano na cały rok 1864. — Pani Nach: Kalin. przez Jarmolińsk Tynny — List odesłany w przysłanej nam kopercie został zwrócony, nie wiadomo z jakich powodów.— P. Marji Jank. w Auninsku, pozostałe z prenumeraty złp. 3 gr. 10, zachowaliśmy na prenumeratę przyszłą.

---

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

---

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 3 Tygodnika Mód.

*Warszawa dnia 16 Stycznia 1864 roku.*

# JAN HALIFAX,

## POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

**Sewerynę Pruszakową.**

(Dalszy ciąg.)

— Ale pan mówisz dobrze po francuzku?

Nie zupełnie, rzekł, i nic dziwnego, uczyłem się sam, bez niczyjéj pomocy;

— To najlepszy sposób, pan się w istocie urodziłeś na bohatera. Czy pan pochodzi z ludu? Któż byli jego rodzice?

— Pani, odrzeł Janek z powagą, przedstawiony byłem jako Jan Halifax, i sądzę że póki to imie nosić będę bez plamy, powinno mi wystarczyć w oczach świata.

— O masz pan słuszość, odparła z współczuciem, bo czemże wielkość świata, to marmur zimny i połyskujący, ale wewnątrz pusty! W żyłach ludu tylko płynie krew ciepła i żywotna!

Długo szczebiotała w ten sposób, mięszając słowa francuzkie z angielskiemi. Janek odpowiadał krótko i treściwie. Lady Karolina koniecznie chciała go oczarować, lecz jéj się nie udało. Za każdem poruszeniem drzwi, poglądał niespokojném okiem, jakby oczekiwał kogo.

— Lękam się, rzekła pani Jessop do lady Karoliny, czy zobaczymy dziś jeszcze naszą Urszulkę.

— Poczta spóźnia się niekiedy, odrzekła zimno pani Brithwood, a droga do Bath nieszczególna. Czy pan był kiedy w Bath, panie Halifax?

— Jakże się niepokoję o nią, przerwała pani Jessop. Któż towarzyszy jéj w drodze.

— Służąca, i nasz kamerdyner, nie lękaj się pani; twoja wychowanka bezpieczna, mogę ręczyć. Zapał tych panów, polujących na bogate dziedziczki, ostygł zapewne, gdy się dowiedzieli, że panna Marek...

— Daruj pani, że przerywam, rzekła pani Jessop, lecz jesteśmy w śród obcych. Spokojna jestem z tego powodu o moje drogie dziecię.

— Piękna to rzecz wyprobowana przyjaźń, rzekła lady Karolina, zwracając mowę do Janka.

Skinął głową, i rozmowa szła daléj. Pani Brithwood prowadziła ją sama, Janek wtrącił kiedy niekiedy jedno słówko.

— Muszę pana poznać z mężem moim, rzekła, po kolacji byłoby zapóźno.

— Panie Brithwood, zawołała cierpkim tonem.

— Słucham pani, odrzekł zbliżając się pomału małżonek.

Oboje dziwną tworzyli sprzeczność. Ona w całym blasku piękności i sztuki, on żywy obraz ziemskiego cielca o pulchnych policzkach.

— Panie Brithwood, przedstawiam ci pana Halifax.

— Jakto? Halifax garbarza?

— Jego samego.

— Pan Brithwood odwrócił się, pogwizdując sobie pod nosem.

Janek zbladł. Lady Karolina rozśmiała się i poszepnęła z cicha.

— Och, ci grubijanie Anglicy!

— Mój kochany szepnęła do ucha mężowi, zapominasz, żem cię przedstawiła temu panu.

— Panu? szalona z ciebie kobieta.

— Uczyniłam to tylko dla formy. Pan Halifax będzie u nas w niedzielę na obiedzie.

— Żartujesz sobie milady.

— Ryszardzie! daj mi pokój, rzekla lady Karolina, odtrącając twardę rękę, którą mąż ścisnął ją za łokieć.

— Milady zapominasz, że towarzystwo garbarza nie dla mnie.

— Ja go téż zapraszam do siebie.

Janek nie słyszał téj rozmowy, gdyż młoda osoba w grubéj żałobie weszła do salonu z panią Jessop. Była to ona!... nasze wspomnienia z Enderly, zamieniły się w rzeczywistość.

Janek stał przy drzwiach; ich oczy spotkały się nawzajem. On nadzwyczaj był blady, mocny rumieniec wystąpił na jéj lica. Powitali się się lekkim skinienieniem głowy. Urszula siadła niedaleko okna, poznawszy mnie, podała mi rękę. Zamieniliśmy kilka słów, obejście jéj takie było jak dawniéj, głos tylko drżący i wzruszony.

Spojrzałem na nią z boku, jakże ładna była z oczyma spuszczonemi, Serce mi biło; ale silniéj musiało bić serce Janka.

Stał jak wryty o kilka kroków od państwa Brithwood, a lubo nie słyszał nic z ich rozmowy, pewien jestem, że każde słówko panny Marek doleciało do niego.

— No, mój młody przyjacielu, rzekł nakoniec protekcjonalnie pan Brithwood.

— Czy do mnie pan mówi? spytał Janek.

— Tak, chcę ci pwiedzieć słówko na osobności.

Ustąpili na bok kilka kroków: Pan Brithwood zdawał się pomięszany. Janek przeciwnie spokojny i poważniejszy był niż zwykle.

— To trochę drażliwa materja, rzekł Brithwod, jutro wstąpię do garbarni i wytłomaczę się jaśniéj.

— Po co odwłóczyć do jutra, mów pan tu, słucham.

— Niechże i tak będzie, ale rzecz djabelnie drażliwa... Wolałbym nie być w tém położeniu... Pan nie weźmiesz na serjo dziwactwa mojéj żony?

— Nie rozumiem pana wcale.

— A więc pomówmy jasno, bez żadnych obsłonek. Możesz pan być bardzo zacnym młodzieńcem, ale położenie społeczne ma zawsze swoje prawa. Doktór Jessop może zapraszać kogo chce, i ja téż staram się być grzecznym dla wszystkich... Ależ na Boga, trudno mi dla kaprysów żony zapraszać pana do stołu mego.

— I ja nie zniósłbym takiego upokorzenia, abym przyjął pańskie zaprosiny.

Janek wyrzekł te słowa na głos, i odszedł spokojnie. Ale pan Britwood nie przestał jeszcze na tém.

— Upokorzenia zawołał, co pan przez to rozumiesz. Nie byłożby to szczęściem, dostać się pomiędzy nas, w jakikolwiek sppsób? Otóż to pycha ludu! Rewolucja francuzka przewróciła głowy tym nowoczesnym Brutusom. Lecz ja mam dobrą pamięć.. jesteś tym samym garbarczykiem, co to niedawno woził skóry...

Wszystka krew zawrzała w piersi Janka, lecz umiał się powściągnąć.

— Nie zapomniałem nigdy o różnicy, jaką świat stawia między nami.

— Nie piérwszy to raz spotykamy się mój panie. Ciągnął Brithwood. Przypominam sobie ten dzień, kiedym płynął z krewnym moim łódką po wzburzonéj Sawernie.

Usłyszałem obok siebie lekki okrzyk, Urszula z okiem wlepionym w Janka czekała gorączkowo odpowiedzi.

— Wyborną pan masz pamięć tak jest, to byłem ja.

— Odrzuciłeś dumnie sztukę złota, którą ci dałem... zaciągnąłem więc obowiązek względem ciebie... jutro przyślę ci ich dwadzieścia...

Zniewaga była zbyt wielką.

— Pozwól pan powiedzieć sobie, rzekł Janek, że jakakolwiek istnieje różnica między nami, w tym domu przynajmniéj jesteśmy równi sobie...

Pan Brithwood oniemiał na te słowa; w koło głuche panowało milczenie; w owych burzliwych czasach zdarzały się nieraz w obec kobiet tego rodzaju zajścia. Lady Karolina przyzwyczajona do nich, ruszała tylko pogardliwie ramionami i nuciła marsyliankę.

— Cicho bądź pani! zawołał Brithwood z wściekłym gniewem. Dla tego że on garbarczyk ocalił mi życie, że pani obłąkana głupiemi ideami wolności i równości, protegujesz go jak tylu innych, mamże go przyjmować do stołu mego? Niech mnie djabli porwą, nie będzie z tego nic.

Janek stłumił gniew całą siłą, lecz krew kipiała gwałtownie w jego żyłach.

Brithwood przystąpił z zacisniętemi pięściami.

— A teraz rzekł, posłuchaj mnie panie hołyszu...

Na te słowa Urszula Marek, powstała, przeszła salon, i ujęła rękę krewnego.

— W méj obecności, rzekła nie ośmielisz się ubliżyć temu panu, on ocalił życie ojca mego.

Idź sobie do djabła z ojcem twoim.

— Cicho na Boga, cicho! wołał Janek, przystępując ku niemu.

Brithwood uderzył go pięścią w bok.

Janek zachwiał się; rzekłby kto, że jak lew rozjuszony, spadnie na przeciwnika, i zetrze go w proch... lecz nie uczynił tego.

On się bić nie będzie, to kwakier, odezwał się głos z boku.

— Nie, odparł Janek blady jak trup, głosem stłumionym, jam nie kwakier, ale chrześcijanin!

Obecni patrzeli zdziwioném okiem na Janka; niektórzy usunęli się z pogardą, Urszula Marek podała mu rękę; Janek wziął ją, i w mgnieniu oka wrócił do zupełnéj spokojności.

— Pan Brithwood wychodzi, szeptano w koło sali.

— Niech sobie idzie, tém lepiéj. zawołała panna Marek z oburzeniem.

Nie, nie! zawołał Janek, i usunąwszy lekko jéj rękę zbliżył się do pana Brithwood.

— Pan nie potrzebujesz opuszczać towarzystwa, rzekł, odchodzę ztąd natychmiast. To ostatnie nasze spotkanie, bądź pan pewien!

Spokojna i pełna godności jego postawa, zdziwiła obecnych, budząc w nich minowolne poszanowanie. Pan Brithwood stał jak wryty, z ustami na

pół otwartemi, podczas gdy Janek żegnał doktora i znajomych, kobiety otoczyły go z współczuciem. Lady Karolina sama uczyniła, że nie podobna było znieść przyzwoiciéj takiego poniżenia.

Panna Marek zadrżała na te słowa.

— Nie pani! rzekła, nigdy zniewaga wyrządzona człowiekowi nie może go poniżyć. Człowiek sam siebie tylko poniża, lub podnosi.

Janek wychodząc za próg salonu, posłyszał te słowa. Nigdy zwycięzca z większym tryumfem, nie opuszczał areny.

Wyszedłem za nim z panią Jessop; ale niestety błyskawica szczęścia znikła już na jego czole.

— Widzisz pani, rzekł, miałem słuszność, nie powinienem był przestępować tych progów. Świat mnie pokonał, bo mocniejszy ode mnie; nie zwyciężę go nigdy, nigdy...

— Zwyciężysz go pan, odezwał się głos znany.

— I Urszula zapłoniona stanęła przy nim.

Pani Jessop, objęła ją tkliwie i przycisnęła do piersi, i rzekła:

— Panie Halifax! nie lękaj się świata, jeśli będziesz tak jak dziś postępował. Żałuję tego co się stało, a szczególniéj przez wzgląd na moje drogie dziecię.

— Czym pobłądził, zapytał Janek. Odpowiedz mi pani, czym pobłądził?

— Nie! zawołała żywo Urszula, nie, dowiodłeś pan tylko to, o czém byłam dawno przekonaną, że tylko prawdziwy chrześcijan umie być szlachetnym człowiekiem.

Zrozumieli się oboje... podali sobie rękę w milczeniu; oczy ich spotkały się nawzajem; w jednéj chwili wyczytali w sercach własnych głęboko ukrytą tajemnicę; i szczęśliwi byli, niewysłowionem szczęściem.

Pani Jessop odgadła co się działo w ich duszy. Znała ona prawdziwą miłość, gdyż przez lat trzydzieści dochowała jéj doktorowi. Lecz była to kobiéta rozważna, znająca świat wybornie.

— Pan musisz się oddalić rzekła do Janka.

— Tak, lecz ona!... cóż się z nią stanie?

— O! bądź pan o mnie spokojny. Znalazłam moją Marją, i tkliwie oparła głowę na ramieniu pani Jessop.

Janek pożegnał Urszulę wzrokiem pełnym uczucia.

— Idźmy, rzekł, podając mi rękę.

W chwilę potém, byliśmy na ulicy, w ciemną i burzliwą noc zimową.

---

## XVIII.

Kilka tygodni upłynęło, nie przynosząc w naszém życiu najmniejszéj zmiany.

— Urszula mieszkała niedaleko, opuściła dom krewnych, a przeniosła się do pani Jessop.

Ciężka to była próba dla Janka. Pani Jessop nie zapraszała nas do siebie. Zrozumieliśmy, że miała powód; lękała się plotek, tak zwyczajnych w małém miasteczku. Już krążyły tysiączne domysły co do postępowania panny Marek względem krewnych; już na rozmaity sposób przetwarzano zajście Janka z panem Brithwood. Trudno było narażać się na nowe gadania i bajki.

Janek widywał często pannę Marek na ulicy, lub w otwartém oknie. Ilekroć ją spotkał, zgadywałem to po szczególném jego ożywieniu.

Niewiele mówił, lecz uważałem w nim nadzwyczajną odmianę. Wychudł, oko jego przygasło, siły codzień go opuszczały.

— Janku, tyś chory! rzekłem raz wieczorem, widząc go dziwnie zmienionego.

— Nic mi nie jest, nie troszcz się o mnie Fineas.

W kilka minut potém przepraszał mnie za ostre słowa.

— Nie gniewam się na ciebie, to nie ty mówiłeś mój Janku.

— Prawda, nie ja, to ten pieprzyjaciel, który się tu zagnieździł, odrzekł wskazując na serce. To istne piekło, wierz mi!

Umilkłem. Cóż mogłem powiedzieć w obec takiéj boleści!

Siedliśmy pod oknem. Kasztany na drodze do opactwa wypuszczały już listki. Słychać było wesołą wrzawę dziatek, igrających w niejakiem oddaleniu.

— Jakże piękny wieczór, rzekł Janek.

— Janku, rzekłem, patrząc mu bystro w oczy, tyś się o niéj cóś dowiedział?

— Tak jest, odrzekł z westchnieniem, dowiedziałem się, że odjeżdża z Norton-Bury.

— Chwała Bogu!

Spojrzał na mnie z gniewem; wkrótce jednak oko jego łagodniejszy przybrało wyraz.

— I ja powinienbym może powiedzieć Chwała Bogu! bo dłużéj trwać tak nie mogło. O! gdybym ja mógł umrzeć, i przycisnął oczy rękoma.

— Janku, rzekłem po chwili, gdybyś poszedł do niéj i wszystko wyznał?

— Myślałem już o tém. Piękna myśl, dopraw-

dy godna czeladnika garbarskiego. Dwa razy byłem przed samym domem doktora Jessop, gdzie jak wiesz nie zapraszano mnie od tego nieszczęśliwego wieczoru... Ale zastanowiłem się w samę porę, i Bóg mnie ustrzegł od szaleństwa, a może i podłości.

Cóż było na to odpowiedzieć. Wiedziałem, że w oczach świata, byłoby szaleństwem, podłością nawet, ze strony dwudziestoletniego rzemieślnika, który nie miał nic, domagać się ręki osoby takiéj jak panna Marek, jakkolwiek pani Brithwood utrzymywała, że majątek jéj daleko mniejszy, niż się zdawało.

— O Janku, czemu ty ją poznałeś, rzekłem.

— Cicho Fineas, nie mów tego. Gdybyś wiedział, co ja słyszę o niéj! o jéj poświęceniu, odwadze, szlachetności, słowem o jéj sercu! Poznać taką istotę jest samo przez się błogosławieństwem Bożem. To anioł! a raczéj to prawdziwa kobiéta. Onaby mnie wsparła, ulepszyła, dodawałaby odwagi. O byłbym prawdziwie dobry, gdybym ją miał za żonę, a tak!...

Wstał, przechodził się po pokoju, z obłąkanym wzrokiem.

— Chodź Fineas, ona będzie wracać z przechadzki, widziałem niedawno jak szła z panią Jessop ku opactwu. Niekiedy, gdy mnie ujrzy, pokłoni się z uśmiechem, czasami poda mi drobną rączkę, i idzie daléj, a ja zostaję w miejsca jak obłąkany. Patrz, patrz, otóż i ona.

W rzeczy saméj pani Jessop i panna Marek szły ulicą, rozmawiając i uśmiechając się jak zwyczajnie.

Nie myślały o nas, ale przechodząc koło domu, Urszula obróciła głowę z uśmiechem. Nie widziała nas, gdyż Janek odciągnął mnie od okna. Wkrótce znikły nam z oczu.

— Teraz mój drogi, wszystko skończone, rzekł Janek.

— Co chcesz powiedzieć?

— Widziałem ją po raz ostatni.

— Wszakże jesze nie odjeżdża.

— Nie, ale ja odjeżdam... uciekam od szatana i jego sideł. Zabawmy się dziś jeszcze, jutro jadę do Bristolu, a ztamtąd popłynę do Ameryki.

Scisnął mi rękę mocno, i rozśmiał się dziwnym śmiechem, poczem upadł bezwładnie na krzesło.

W kilka godzin potém, leżał w moim pokoju, chory jak mówiono na gorączkę, która od zeszłorocznego głodu, zagnieździła się w Norton-Bury. Przynajmniéj, tak utrzymywała Joanna, doświadczona w sztuce lekarskiéj. Janek przyjmował chętnie jéj posługi, nie dając sobie wspomnieć o doktorze Jessop. Ja téż nie nalegałem, aby go wezwano, wiedząc, że żaden doktór nie wyleczy choroby Janka.

Po kilku dniach jednak, przyjechał doktór z Coltham, który oświadczył że Janek dostał panującéj gorączki. Za powód choroby uważał złe powietrze w ciasnéj uliczce miasta. W krótkim czasie obiecywał wyzdrowienie.

Lecz zdrowie nie wracało. Dnie i tygodnie mijały a biedny Janek leżał, nie skarżąc się nigdy, niewiele nawet cierpiąc, a jednąk kiedy mówiłem o przesileniu choroby, odwracał głowę, jakby znudzony życiem.

Dnia jednego, przepędziwszy cały poranek przy jego łóżku powziąłem przekonanie, że choroba duszy może zabić. Dreszcz zimny przebiegł mnie na wskros; ująłem jego rękę, niegdyś tak silną i twardą, teraz wychudłą, przezroczystéj białości.

Usunął ją co żywo.

— Fineas, nie dotykaj mnie, rzekł, chciałbym spać.

Głos jego był słaby i stłumiony. Gdyby on umarł! pomyślałem, on! mój jedyny przyjaciel, moja nadzieja, moja chluba! cóż bym ja sam począł na świecie!

Upadłem na kolana, modlitwa moja przeniknęła niebiosa!

Ale jakże wydrżéć go śmierci?

Wiedziałem jedyny tylko środek; pochwyciłem go całą duszą, nie pytając czy zły, czy dobry. Życie Janka było w niebezpieczeństwie, tym sposobem, mogłem go jeszcze ocalić. Zresztą, wszakże wezwałem Boga w pomoc.

Odsunąłem firankę, i wyjrzałem przez okno: od kilku tygodni, nie przestąpiłem za próg domu. Zdziwiłem się na widok rozkwitłych drzew, i zielonych trawników. Świat Boży cudnie wyglądał, ozłocony promieniem zachodzącego słońca. Wszystko jaśniało życiem, nadzieją, a biedny Janek cierpiał na łożu boleści!

— O! zasłoń światło, wyszeptał słabym głosem: razi mnie w oczy. Dozwól mi spocząć Fineas!

— W półgodziny potém, udałem się do Urszuli. Znalazłem ją samą w salonie; doktór wyszedł. Pani Jessop zajęta była w ogródku, mogłem więc pomówić z całą swobodą.

Urszula zajęta była robotą. Powitała mnie z łagodnym uśmiechem, zapytując, czemu nas tak dawno nie widziała.

(d. c. n.)



Leroy Imp. r. des Marais, 66, Paris

Anaïs Toudouze

2438

# TYGODNIK MÓD

*w Warszawie*

Nro 3